Z zasłyszanych opowieści

LUDZIE PIASKU

Siedzieliśmy na rozłożystym łożu wysłanym przepięknym kobiercem. W sadzie pachniało kwitnącymi migdałami i granatami. Lekko sfermentowane wielbłądzie mleko wspaniale gasiło pragnienie. Aż trudno uwierzyć, że nie dalej jak 3 kilometry zaczyna się straszliwa pustynia Kara — Kum.

Mój gospodarz, stary Turkmen, poprawił na głowie ogromną czapę futrzaną, z którą się nie rozstawał mimo upału.

— Skoro się tak upierasz — powiedział niechętnie — opowiem, ale to naprawdę ani nic ciekawego, ani nie niezwykłego. Ot, jedna z tysięcy normalnych historii. Był wtedy rok 1928 czy 1929. Dobrze nie pamiętam.

W sercu naszej Kara-Kum od lat działa stacja doświadczalna. Kilkunastu młodych uczonych zakopało się na tym bezludziu, wśród piasku, szakali i skorpionów, by drogą żmudnych eksperymentów nauczyć się walczyć z pustynią. Jeszcze i dziś pociągiem pospiesznym jedzie się tam, do Repeteku, ponad dziewięć godzin. A wtedy...? Nawet najlepszy dromader potrzebował co najmniej tygodnia.

...Tego wiosennego ranka wyjechała z Aschabadu stara, wysłużona ciężarówka. Wszyscy odradzali nam tę podróż, namawiali, by poczekać jeszcze parę dni, aż się skompletuje wielbłądzią karawanę. Nam jednak się śpieszyło. Wiedzieliśmy, że w Repeteku z niecierpliwością czekają na ciężkie skrzynie z aparatura naukową, że kończą się im zapasy...

Pierwszego dnia pojechaliśmy bez przeszkód i prawie połowę drogi mieliśmy już za sobą.

Świt zastał nas spakowanych, gotowych do dalszej podróży. Ale słońce, choć wzeszło, świeciło jakoś przymglone, a powietrze było duszne, z trudem się oddychało.

— Jeśli zdążymy przed burzą — mruknął pod nosem Nawruzow Tiofik — możemy powiedzieć o dużym szczęściu.

Cd. str. 5

Rys. J. Rocki

Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA

Nr 29 (1707) Warszawa, wtorek, 9 kwietnia 1968 r. Cena 50 gr

JUŻ ZA TRZY DNI

Oznajmiamy wszystkim i każdemu z osobna, iż za 3 dni ukaże się w kioskach podwójny, 16-stronicowy, ciekawy, nowy numer naszej gazety!

PISZĄ W NIM:

Maciej Zimiński — o Maroku, **Stanisław Borowiecki** — o... nieznanych cywilizacjach, **Jerzy Kasprzak** — o historii polskiej szabli, **Zbigniew Pawłowski** — o mistrzyni świata, łuczniczce — Marii Mączyńskiej, **Alicja Wielgoławska** — o „Czerwonych Gitarach"... **Karolinka** — o młodej modzie.

PONADTO:

Nowa przygoda Tytusa, Krzyżówka-Mecz, Motokonkurs, i wiele, wiele innych niespodzianek.

Cena numeru 1 zł.

WIETNAM ŻYJE, WALCZY I ZWYCIĘŻA

JESZCZE kilka miesięcy temu, ówczesny dowódca wojsk USA w Wietnamie, gen. Westmoreland, buńczucznie zapowiadał rychłe zwycięstwo agresorów. W ostatnich dniach stycznia Narodowy Front Wyzwolenia rozpoczął wielką ofensywę. Dziś w całym Wietnamie Południowym nie ma miejsca, gdzie agresorzy czuliby się bezpiecznie.

Generała Westmorelanda odwołano z Wietnamu, prezydent Johnson zapowiedział częściowe ograniczenie bombardowań DRW. Trudno orzec, czy jest to jeszcze jedno oszustwo, czy początek odwrotu. Jedno jest pewne: to bohaterska walka narodu wietnamskiego zmusza najeźdźców do tych kroków.

Wietnam żyje, walczy i zwycięża. Ludzie, którzy w Demokratycznej Republice Wietnamu obsługują baterie dział przeciwlotniczych, którzy w Wietnamie Południowym dokonują śmiałych partyzanckich ataków — równocześnie pracują w fabrykach, uprawiają ryżowe pola, organizują w dżungli szkoły, tworzą dzieła sztuki.

O AMERYKAŃSKICH ZBRODNIACH W WIETNAMIE, O SZKOLE ZORGANIZOWANEJ NA WYZWOLONYCH TERENACH PRZECZYTAJCIE NA STR. 4 i 5.

Samochody „Świata Młodych"

W czechosłowackim miasteczku Mlada Boleslav, położonym kilkadziesiąt kilometrów od Pragi wiedli spokojny żywot dwaj przyjaciele: pan Wacław Klement, księgarz, o wielkich zainteresowaniach technicznych, oraz pan Wacław Laurin, z zawodu mechanik, który bardzo lubił czytać książki. Któregoś jesiennego dnia, roku 1894, postanowili oni założyć wspólny warsztat, w którym można by montować rowery. Ponieważ obaj byli bardzo energiczni i nigdy nie rzucali słów na wiatr w kilka miesięcy potem pierwsze rowery panów Wacławów zostały sprzedane amatorom dwóch kółek. Po rowerach przyszła kolej na motocykle, a w roku 1905 fabryczkę opuścił pierwszy... samochód. Była to bardzo solidna maszyna, mogąca rozwijać szybkość na szosie dochodząca do 45 km/godz. Samochód znalazł wielu nabywców, a sława panów „W" obiegła szeroko Europę. Fabryczka rozrastała się: po pierwszym samochodzie przyszły następne, 4-cylindrowe, a nawet 8-cylindrowe. Rozpoczęto też produkcję samochodów ciężarowych.

Mała fabryczka nie była jednak w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb. Dlatego też, w roku 1925, zdecydowano połączyć fabrykę z dużymi zakładami mechanicznymi „Skoda" w Pilznie. Od tej chwili datuje się dalszy rozwój fabryki samochodów w Mladym Boleslavcu. Dziś są to nowoczesne państwowe zakłady samochodowe, produkujące znane w świecie z samochodów osobowych „Skoda-1000 MB". Ale obok nowoczesnych hal montażowych odnaleźć można i tę niewielką fabryczkę, w której przed pół wiekiem wypuszczono na ulice pierwszy samochód panów: Klementa i Laurina.

(Z. P.)

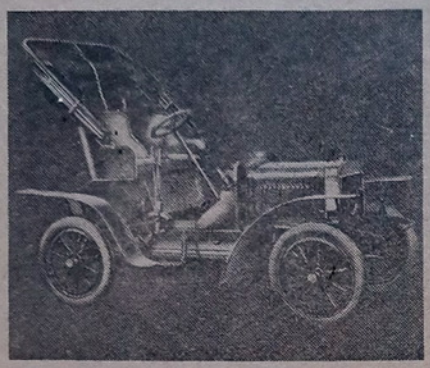

SAMOCHÓD PANÓW „W"

Tak właśnie wyglądał samochód dwóch panów „W", czyli Wacława Klementa i Wacława Laurin. Samochód ten można uważać za praprzodka dzisiejszej „Skody-1000 MB".

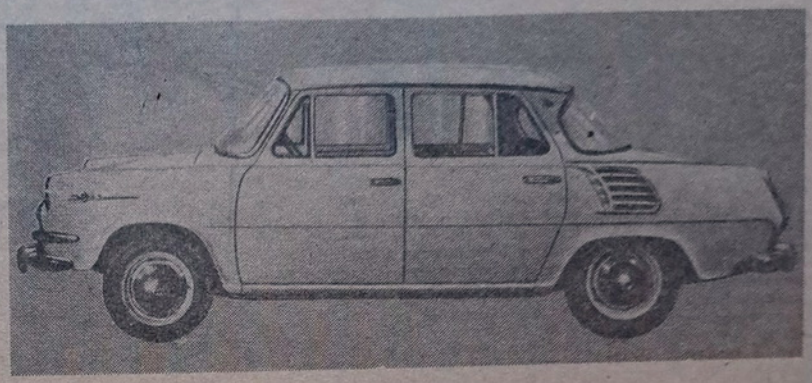

„SKODA-1000 MB"

Samochód ten znacie doskonale, jest on bowiem importowany do Polski. Oto niektóre jego dane techniczne: szerokość 126 cm, długość 417 cm, wysokość 139 cm, waga 755 kg, zużycie paliwa 7 l/100 km, szybkość 120 km na godzinę.

OSTRY DYŻUR „ŚWIATA MŁODYCH"

I ZNÓW PRZYCHODZI WIOSENNE ZMĘCZENIE

Siedzisz nad najżmudniejszym zadaniem świata, czyli nad odrabianiem lekcji. Myśl ci się plącze i co chwila spoglądasz w okno. Sikorki dawno przestały się interesować skórkami słoniny, które ktoś tam im wywiesił na drucie ku pocieszeniu ptasich żołądków, serc i śpiewających gardzieli. Wracasz do „przeklętej matmy". W tym twoim matematycznym zadaniu domowym jest tyle niewiadomych, że właściwie nic nie wiadomo.

Znowu spoglądasz w okno. Już przyleciały szpaki. Drą się na wyprzódki, jak co najmniej osiem ósmych klas na ósmej dużej pauzie, która nie mieści się w liczbie dni tygodnia, bo tydzień ma przecież tylko siedem dni, a ten siódmy dzień to właściwie się nie liczy, bo to przecież niedziela.

W niedzielny ranek nie chcesz zasnąć nad zeszytem, więc podejmujesz inne domowe zadania: chcesz przynieść z piwnicy koszyk ziemniaków, które mama albo babcia ma ugotować na obiad. Koszyk przecież ten sam, ziemniaków też prawie tyle samo, co zawsze, a ciężar tego „zaprowiantowania" jest dla ciebie dwa razy większy niż zwykle. A gdzieś tam, poza zasięgiem twojego wzroku, topole puściły już pąki...

Babcia albo sąsiadka powiada, że jesteś „wiosnowaty" albo „wiosnowata". Dla ciebie niewiele to znaczy. Wiesz tylko, że za oknem już jest wiosna, a ciebie zwala z nóg zmęczenie. Najgorsze jest to, że koniec roku niedługo, a tobie trzeba jeszcze wiele siły, żeby sprostać wszystkim obowiązkom, jakie nakłada na ciebie twoje kilkunastoletnie życie.

Ogarnia cię przygnębienie, wydaje ci się, że już do niczego się nie nadajesz.

A jednak i na to jest sposób. Wszystko, co przeżywasz wiosną, jest w dużej mierze uzależnione od nie zależnego od ciebie cyklu rozwoju przyrody, bo ty też jesteś jej częścią.

Wiele jednak zależy od ciebie.

JAK ZACZĄĆ RANEK

Nie wstawaj na własną komendę „raz dwa, trzy" ani na alarm budzika. Budź się powoli! Przeciągnij się, wyprężaj, ziewnij kilkakrotnie, a potem — gimnastyka.

Ćwicz codziennie chociaż 5 minut, ale systematycznie i koniecznie przy otwartym oknie, najlepiej boso.

Opłucz się przynajmniej do pasa chłodną wodą, ale twarz umyj wodą ciepłą, przegotowaną. Nie zapomnij o umyciu zębów po śniadaniu.

Śniadanie — to najważniejszy z posiłków. Anglicy powiadają, że „dobre śniadanie — to dobry start dnia" i mają słuszność. Dla twojego organizmu bardzo ważne jest białko i witaminy. Dlatego na śniadanie zaleca się jajka i mleko. Kto nie lubi mleka, może jeść twaróg, budyń, a pić kawę lub herbatę z mlekiem albo kakao. Kto nie lubi jajek, może je spożywać w postaci past do chleba z różnymi dodatkami, np. śledź i cebula przekręcone przez maszynkę.

Do szkoły idź pieszo, jeżeli nie jest bardzo daleko. To doskonała okazja do „rozruszania się", nabrania energii i chęci do pracy.

SKĄD SIĘ TO BIERZE?

Ogólne osłabienie w twoim wieku, to znaczy w wieku 13—16 lat, wynika m. in. z tego, że w tym okresie szybko rośniesz. Przyrost wzrostu wynosi około 6-7 centymetrów rocznie. Za przyrostem wzrostu nie nadąża przyrost wagi oraz praca serca i płuc, które muszą „obsłużyć" rozwijający się organizm. Stąd się bierze ogólne osłabienie fizyczne i niezdolność do wykonywania dłużej trwających wysiłków fizycznych.

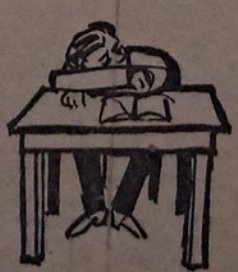

Ponieważ również szybko rozwija się twój mózg — cechuje cię wielka pobudliwość, wrażliwość, bardzo bogate życie psychiczne, niekiedy nawet nerwowość, nieopanowanie, chęć naśladowania dorosłych w wielu sprawach i czynnościach.

Na wiosnę zmęczenie psychiczne i fizyczne wzmaga się, bo organizm twój w okresie jesiennym i zimowym utracił wiele energii na naukę czy pracę i brak mu witamin, a bardzo często również brak higienicznego trybu życia, zapomina się o tym bowiem w nawale prac i obowiązków.

KLUB NASTOLATKÓW

O ważnych sprawach nauki, o mądrej przyjaźni i wspólnej pracy mówią dziś w Klubie wasi rówieśnicy. Uczniowie kl. VIIIb, Szkoły Podstawowej nr 164 w Warszawie. Ich szkoła powstała kilka lat temu, większość uczniów po raz pierwszy spotkała się ze swymi kolegami w kl. IV. Za dwa miesiące ósmoklasiści odejdą. Ale w szkole pozostaną inni uczniowie, którzy przyjęli zasadę, że do każdego trzeba zawsze wyciągnąć pomocną dłoń.

POMOCNA DŁOŃ

KLASA NASZA — VIII b, liczy trzydzieści osób. Potrafimy w klasie utrzymać porządek, głównie dzięki pracy samorządu klasowego. Mogę powiedzieć szczerze, że dzięki pracy w latach poprzednich, obecnie klasa jest wyrobiona społecznie i towarzysko. Sprawy dziejące się na „arenie klasowej" potrafimy sami rozstrzygnąć bez sprzeciwu stron sprzeczających się. W zasadzie konflikty zdarzają się rzadko, a kiedy zaistnieją, są natychmiast rozpatrywane przez ogół klasy.

Chciałbym wyjaśnić, dlaczego tak chwalę umiejętność współżycia naszej klasy. Do szkoły 164, dostałem się, gdy miałem 12 lat. Przedtem mieszkałem na Pradze i chodziłem tam do innej szkoły, wobec czego tutejsze środowisko wydało mi się zupełnie obce. Gdy przyszedłem po raz pierwszy do szkoły ze, znanym chyba wszystkim, strachem w duszy, zostałem bardzo życzliwie przyjęty i otoczony przyjacielską opieką przez klasę V b (obecna VIII). Wydaje mi się teraz (z czego wówczas nie zdawałem sobie sprawy), że bez koleżeńskiego i serdecznego stosunku p. wychowawczyni, koleżanek i kolegów z nowej klasy, nie potrafiłbym dać sobie rady w nauce — co było w owym czasie dla mnie najważniejsze.

Klasa potrafiła natychmiast wciągnąć mnie do życia towarzyskiego i właśnie dlatego cenię w niej przede wszystkim umiejętność „podania pomocnej dłoni".

ANDRZEJ

PIERWSZĄ RZECZĄ, która mnie uderzyła przy przyjściu do klasy, była zakrojona na szeroką skalę akcja samopomocy koleżeńskiej. Bardzo mnie ona zainteresowała, gdyż do tej pory nie spotkałem się z takim rodzajem współpracy. Toteż gdy nadarzyła się okazja, sam spróbowałem swych sił. Zająłem się kolegą, który miał kłopoty z kilkoma przedmiotami. Natychmiast spostrzegłem dużą obustronną korzyść płynącą z tej pracy: 1) wzajemna nauka i mnie ułatwiała lepsze przygotowanie lekcji, 2) praca nad słabszym kolegą dawała satysfakcję zarówno mnie, jak i jemu, 3) ponieważ byłem „nowym", spodziewałem się, jak to zwykle bywa, okresu osamotnienia. Jednak dzięki pomocy koleżeńskiej klasa szybko przyjęła mnie do swego grona.

Te trzy aspekty spowodowały, że i w następnej klasie współpracowałem z innym kolegą. Wspólnie odrabialiśmy lekcje ustne i piśmienne w pokoju lekcyjnym. Osobiście uważam, że jest to świetne udogodnienie pracy uczniowskiej, które powinno być wprowadzone we wszystkich szkołach. Klasa, do której chodzę, jest wyjątkowo zgrana. Dzięki temu każdy ma zaufanie do innego i wie, że nie zostanie osamotniony w razie niepowodzenia.

CEZARY

PIĘĆ LAT TEMU w klasie mało kto między sobą się znał.

Początek był okropny. Myślałam, że wypiszę się do innej szkoły. Lecz pozostałam i nie żałuję. Z początku nie wiedzieliśmy, jakie kto ma stopnie, jakie kłopoty. Wszystko to ułożyło się pod koniec roku. Tak przeszła klasa czwarta. W klasie piątej byliśmy już pewniejsi siebie, bo już zaaklimatyzowaliśmy się. Dopiero w piątej klasie zaczął swą aktywną pracę samorząd szkolny. W nim znalazła się moja przyjaciółka. Ja jestem uczennicą średnią tzn. nie jestem słaba, ani bardzo dobra. W piątej klasie miałam trochę kłopotów z matematyką, nie chciałam powiedzieć, że czegoś nie rozumiem. Myślałam, że klasa będzie reagowała śmiechem. Lecz w klasie wkrótce powstało koło samopomocy koleżeńskiej. Moja przyjaciółka też i w nim się znalazła. Ona zaczęła tłumaczyć mi matematykę. Robiła to w sposób bardzo delikatny, aby mnie nie urazić. Żebym nie odczuła, że nie mogę czegoś zrozumieć. Po kilku tygodniach pracy wyrównałam matematykę na 4. Między innymi dlatego, że istniała taka organizacja, klasa zżyła się. Ja dwa miesiące temu przeprowadziłam się, ale szkoły nie zmieniłam. W tym roku rozstajemy się, każdy idzie do innej szkoły. Wszystkim nam bardzo przykro. Żal nam naszej wychowawczyni, która nas prowadziła od 4 klasy.

HANNA

MOJA POPRZEDNIA KLASA, do której uczęszczałem, nie była wcale zgrana. Kilka osób łączyło się w grupkę i na innych nie zwracali już żadnej uwagi. Gdy zmieniłem miejsce zamieszkania, dostałem się do nowo utworzonej klasy. Tu zastałem zupełnie inną sytuację. Klasa stanowiła zgrany kolektyw, w którym każdy miał prawo wypowiedzieć swoje zdanie bez obawy, że jego rówieśnicy nie dadzą mu skończyć.

TADEUSZ

BYLIŚMY na kilku wycieczkach, w tym na dwóch dwudniowych: w Białowieży i w Górach Świętokrzyskich.

Nie wszystkich uczniów zawsze stać na pokrycie kosztów dalekich wycieczek i dlatego mieliśmy duże kłopoty, bo na wycieczki chcieliśmy jeździć całą klasą. Dlatego też pewną sumę pieniędzy podjęliśmy z książeczki oszczędnościowej naszej klasy (jest to książeczka, na którą składamy pieniądze otrzymane za makulaturę, ze spółdzielni uczniowskiej itp.). W ten sposób na wycieczkę pojechali wszyscy.

JOANNA

W TYM ROKU od samego początku obchodzimy imieniny wszystkich koleżanek i kolegów. Z wygospodarowanego funduszu kupuje się książki, które w danym dniu zostają wręczone solenizantom. Miła i przyjemna uroczystość ma miejsce w ciągu roku 31 razy, bo tylu uczniów liczy nasza klasa wraz z naszą Wychowawczynią.

W tym roku już się rozejdziemy. Każdy wyruszy do innej szkoły. Być może niektórzy się spotkają. Chyba jednak wszyscy z nas będą pamiętać o kolegach, którzy wyciągnęli w złej chwili do nich pomocną dłoń.

GRZEGORZ

ROZEJRZYJ SIĘ!

● Kto na podwórku czeka na Twoją pomoc?

● Czy rodzice mogą liczyć na Ciebie?

● Dorośli też mają prawo do Twego serca.

● Komu jeszcze potrzebna jest Twoja życzliwość, Twój uśmiech, Twoja pomocna dłoń?

Klub Nastolatków czeka na listy w tej sprawie. Na kopercie dopiszcie: POMOCNA DŁOŃ.

Opracowała ROMANA JABŁOŃSKA

W WALCZĄCYM WIETNAMIE

OD KILKU JUŻ LAT Stany Zjednoczone prowadzą nie wypowiedzianą wojnę przeciwko Demokratycznej Republice Wietnamu. Codziennie startują bombowce z baz amerykańskich w Wietnamie Południowym i innych krajach, z pokładów lotniskowców codziennie sieją śmierć i zniszczenie. Są dni, kiedy obrona przeciwlotnicza DRW naliczy ponad sto amerykańskich nalotów.

Rząd amerykański oskarża demokratyczny Wietnam o bezpośrednią pomoc wojskową patriotom w Wietnamie Południowym i twierdzi, że bomby z amerykańskich samolotów trafiają wyłącznie w cele strategiczne, w magazyny materiałów pędnych, skrzyżowania ważnych dróg.

Ale to nieprawda! Tysiące naocznych świadków, tysiące metrów taśmy filmowej mówią co innego. Na ekranach kin i telewizorów ludzie na całym świecie widzą rzeczywiste cele amerykańskich bombowców: płonące wioski, zburzone domy mieszkalne, ruiny szkół, rozbite szpitale, kościoły. I wszędzie ofiary w ludziach.

Demokratyczną Republikę Wietnamu odwiedzają wciąż dziennikarze z różnych krajów. Oto co piszą sprawozdawcy moskiewskiej „Prawdy":

„...Wkrótce po ataku lotniczym przyjechaliśmy do wioski Hanh w powiecie Don-ten. Wioska leży daleko od głównej szosy, nie ma w niej żadnych wojskowych obiektów. Był gorący, wiosenny dzień. Mieszkańcy wioski schronili się w południe w cieniu palm, kilkoro dzieci kąpało w jeziorze bawoły. Nagle rozległ się grzmot nadlatujących samolotów i po chwili część wioski była zniszczona.

Domki wieśniaków płonęły. Ludzie nie zdążyli się nawet ukryć. Z ruin jednego domu wydobyto siedem ciężko rannych osób — były to kobiety i dzieci".

W rybackiej wiosce Quang-truong dziennikarze znaleźli sześćdziesięcioletniego rybaka Cao-chi-Tuena. Leżał obandażowany na łóżku. Stary rybak całe swe życie spędził nad morzem. Pewnego majowego dnia wypłynął na połów łódką z pni bambusowych. Towarzyszył mu mały wnuczek, Bat. Kiedy łódka znajdowała się około 10 km od brzegu, na horyzoncie pojawiła się eskadra amerykańskich samolotów. Jeden z nich odłączył się i zaczął krążyć nad łódką.

Rybak opowiadał potem: *„Widziałem, że mierzy prosto na nas, a spod skrzydeł strzelał mu płomień"*. Pirat strzelał do łódki z karabinu maszynowego. Stary Tuen został ciężko ranny, a jego mały wnuczek Bat — zabity.

Dziennikarze odwiedzili również szpital w prowincji Thanh-hoa. Oto zapisy z dziennika szpitalnego:

„La-thin-Ngan, uczennica, trzynaście lat, wieś Quang-thac, powiat Quang-xuong. Ciężko ranna 22 kwietnia. Odłamek przebił jej płuca. Zmarła.

Le-duc-Soa, uczeń, osiem lat, wieś Quang-thac, powiat Quang-xuong. Śmiertelnie ranny 26 kwietnia. Odłamek zmiażdżył mu kość udową. Zmarł.

Nguyen-thi-Li, sześć lat, wioska Quang-giao, powiat Quang-xuong. Zraniona 27 kwietnia. Złamanie podudzia, otwarte złamanie uda".

Zwięzłe notatki — to tylko niewielki ułamek zbrodni amerykańskich piratów powietrznych.

(jk)

SZKOŁA PIONIERÓW W DONG THAP

PIRACI AMERYKAŃSCY zrzucili tony bomb i rozsypali olbrzymie ilości trujących środków chemicznych na prowincję Kien Phong. Mimo to jej mieszkańcy potrafili utrzymywać pola w zieleni i uprawiać ziemię niezwyciężonej Dong Thap (rozległej doliny Wietnamu Południowego). Bomby i środki trujące nie odniosły skutku i nie zagrodziły dzieciom drogi do szkoły, pierwszej w Kien Phong „Szkoły Pionierów", która stanęła w samym sercu wyzwolonej strefy Wietnamu Południowego.

Opowieść, jaką snują ludzie, którzy gołymi rękoma postawili tę szkołę, ujęła mnie i napełniła podziwem.

„Na początku musieliśmy stawić czoła niezliczonym trudnościom — opowiada kierownik szkoły. — Wraz z pierwszymi uczniami zabraliśmy się, pracując bez przerwy przez trzy dni, do oczyszczenia terenu, na którym miała być podłoga. Następnie, gdy liczba uczniów doszła do dwudziestu, podzieliliśmy się na grupy i udaliśmy się do okolicznych mieszkańców, aby zebrać drzewo na obudowę i liście palmowe na pokrycie dachu. Mieszkańcy podarowali nam 70 pni bambusowych i ponad 1.000 liści palmowych.

Tak więc po dziesięciu dniach zbudowano klasę szkolną — 8 metrów długą i 5 metrów szeroką — oraz pokoje wraz z kuchnią przeznaczoną dla dzieci".

Patrząc w okno i jakby coś sobie przypominając, nauczyciel H. zaprosił mnie do ogródka.

„Widzicie — mówi do mnie — te 17 grządek jarzyn, te zieleniejące pomidory i cebulę? Wszystko to stanowi owoc pracy naszych małych uczniów."

Nauczycielka T., zajęta dziećmi pracującymi przy rozrzucaniu nawozu ,widząc, że nadchodzę, przerwała pracę. Poinformowała mnie o tym, co robią dzieci w ogródku, a w szczególności udzieliła informacji na temat wyników, jakie osiągnęły.

„Warto odnotować zbiory, jakie zebrały dzieci, aby pomóc miejscowej ludności. W ciągu 20 dni dwie dziesiątki dzieci zebrały 50 kwintali ziarna, przekraczając nasze przewidywania. Niektóre z nich przekroczyły normy o 50 proc., a nawet o 100 proc.

W dniu, w którym zwiedzałem szkołę, samoloty amerykańskie przeprowadziły nalot na sąsiednią wioskę. Nawet hałas spowodowany warkotem silników i wybuchy bomb nie były w stanie zagłuszyć głosu nauczyciela H., tłumaczącego lekcje. Z kolei uczniowie wyglądali na bardzo spokojnych i ufnych, stojąc w rowach komunikacyjnych, wykopanych własnymi rękami.

Parę dni wcześniej setki bomb amerykańskich spadły nie opodal szkoły, w chwili gdy dzieci zajmowały się kopaniem okopów i zbieraniem drzewa. Olbrzymie smugi czarnego dymu unosiły się nad ziemią i zaciemniały całą okolicę. Dzieci, ramię w ramię ze starszymi, strzelały do amerykańskich maszyn. Następnie, gdy nieprzyjaciel odleciał, zaczęły szukać swoich przyjaciół dla wyrażenia, tym razem hałaśliwie, radości, że są w komplecie — cali i zdrowi — i że ich szkoła stoi nie naruszona.

Dzieci są bardzo przykładnymi uczniami i nie tracąc czasu uczą się nieraz pod drzewami, za ławę szkolną służą im tobołki, a kwadrat płótna nylonowego zastępuje tablicę. Nauka odbywa się regularnie i bez straty czasu. Uczniowie są pilni. Ich nauczyciele oddani. To wyjaśnia, dlaczego tylko w przeciągu dwóch miesięcy 95 procent tych, którzy na początku zaledwie umieli pisać, doszło do poziomu trzeciej klasy. W tym tempie przerobią one do końca roku program nauczania pierwszego stopnia.

Obdarzeni dziedzictwem niezwyciężonej tradycji i potrafiący oprzeć się na własnych siłach, są zjednoczeni i pracowici, zarówno w szkole, jak i w polu — uczestniczą skutecznie w walce przeciwko agresorom, w obronie swojej szkoły. Wszystko, czego dokonają, zbierając ziarno do ziarnka, stanowi dziś podstawę wielkiej przyszłości. Przy tym rozmachu, z chwilą gdy kraj zostanie ponownie zjednoczony, uczące się dziś w tak trudnych warunkach dzieci wniosą swój wkład do budowy kwitnącej i potężnej Ojczyzny".

Na podstawie relacji
LE THI BI
opracował J. KASPRZAK

Rysunki, które oglądacie na tej stronie, wykonali południowowietnamscy artyści-graficy, żyjący i działający na terenach wyzwolonych przez partyzantów.

Dokończenie ze str. 1

Nawruzow dokonywał cudów z naszą ciężarówką. Trzeszczała w spoiwach, kolebała się niebezpiecznie po wybojach bezdroży, ale jednak jechała. Koło południa zdawało się nam, że uciekliśmy przed burzą. Ale właśnie wtedy niebo pokryła nagle jakaś buroszara chmura.

I zaczęło się! Na samochód spadł z ogromną siłą jeden, potem drugi, dziesiąty podmuch wiatru. Sypkie drobiny piasku wdzierały się wszędzie. Nie sposób było dalej jechać, a zatrzymać się oznaczało pewną śmierć. Tiofik zwolnił i jechał na oślep, byle naprzód; byle nie stać, byle nie dać się przysypać setkom kilogramów piasku wirującego wokół nas, spadającego z nieba na ziemię i z ziemi unoszonego wichurą w powietrze.

Nie wiem, jak długo to trwało. Kiedy wreszcie nieco się uspokoiło, a my ledwie żywi wygramoliliśmy się z samochodu, dostrzegliśmy, że to, co jeszcze nie tak dawno stanowiło znośny do przejechania trakt, teraz zamieniło się w pofałdowane morze sypkiego piasku. Wszelkie próby uruchomienia samochodu spełzły na niczym.

Tej nocy nikt nie zmrużył oczu. A potem nastał dzień strasznej, beznadziejnej walki z piaskiem, ze zmęczeniem, z lękiem, z perspektywą śmierci z pragnienia. Przez cały dzień otrzymaliśmy zaledwie dwakroć po pół kubka wody.

I znów nastała noc, noc pełna majaków i niespokojnej drzemki. Obudził mnie jakiś szelest. Długo trwało, zanim uświadomiłem sobie, co się dzieje, a kiedy zacząłem krzyczeć, było już za późno. Dopadliśmy uciekającą w ciemność postać. Powalili na ziemię, skrępowali. To był Kakajew Dżunaid

LUDZIE PIASKU

Leżąca obok samochodu gumowa rurka, odkręcona chłodnica i kilka wilgotnych plam na piasku — wyjaśniły nam całą tragiczną prawdę. Zrozumieliśmy, że samochód nigdy już nie ruszy z miejsca, nawet gdyby Tiofikowi udało się go naprawić.

Rankiem Kakajew dostał okropnego bólu żołądka. Woda z chłodnicy zawiera zbyt wiele trujących składników, by można było ją bezkarnie pić. Wtedy Tiofik zadecydował:

— Słyszałem w Repeteckiej stacji, że w tych stronach można czasem wiosną spotkać koczownicze plemię. Nazywają ich Kum — Li, czyli ludzie piasku. Ktoś z nas musi zaryzykować. Będziemy losować, czy znajdzie się ochotnik?

Dostałem pełną czarkę wody. Smakowała jak najwyborniejszy szampan. Na szczycie barchanu raz jeszcze obejrzawszy się ujrzałem gromadkę wynędzniałych ludzi, którzy machali mi rękoma — nie wiem — żegnając na zawsze, czy życząc szczęśliwej drogi.

Kiedy po kilku godzinach brnięcia przez piaski upadłem po raz pierwszy, miałem ochotę już tak pozostać. Szukanie ludzi w tym pustkowiu było przecież czymś nonsensownym, oszukiwaniem samego siebie. Ale wtedy właśnie przypomniałem sobie tamtą gromadkę moich przyjaciół i podniosłem się. Tylko ja mogłem przynieść im ocalenie. Potem upadałem niezliczoną ilość razy, ale zaraz znów wstawałem i szedłem, szedłem wciąż uparcie przed siebie. Wiedziałem, że muszę tak iść, póki starczy sił.

Było już pod wieczór, kiedy wdrapałem się na kolejny barchan. I wówczas, z wysokości tego sporego wzniesienia, ujrzałem kilka wielbłądów. Zacząłem krzyczeć, a potem straciłem przytomność.

Jeszcze tej samej nocy dotarliśmy do samochodu. Nazajutrz udało się uruchomić motor.

J. B. KLIMA

KONIA Z RZĘDEM

WENECKI POSEŁ wzdychał z podziwu i otwierał szeroko oczy, gdy w czasie swojej wizyty w w Polsce w 1560 roku pokazano mu skarby króla Zygmunta Augusta. Trzydzieści wspaniałych rzędów na konie lśniło drogimi kamieniami i złotem. 20 przepięknych i kosztownych zbroi zachwyciło przybysza z Wenecji. Polska Jagiellonów mogła imponować cudzoziemcom przepychem i bogactwem, nie darmo wiek XVI nazwano „Wiekiem Złotym".

Polak na koniu się rodzi

OD CZASÓW ŚREDNIOWIECZNYCH koń i rycerz stanowili jedno. Panowało przekonanie, że szlachcicowi „przystoi" jazda wierzchem, że tak właśnie, na końskim grzbiecie, powinien iść do boju, czy też udawać się w podróż. Ażeby godnie wyglądać, należało mieć nie tylko piękną zbroję i szaty, ale i doskonale „ubranego" wierzchowca. Chłopak wychowywany w XVI czy XVII wieku już od małego brzdąca dosiadał konia, najpierw na oklep lub na derce, kiedy dorastał — dostawał siodło.

Hodowane w Polsce konie odznaczały się dość potężnym tułowiem, szeroką piersią, prostym grzbietem i mocnymi nogami. Na niezbyt długiej, ale dumnie noszonej szyi osadzona była głowa z wypukłymi oczami i ruchliwymi nozdrzami, zdradzającymi bojowe usposobienie.

Niektórzy rycerze używali wierzchowców, sprowadzanych z Zachodu, typu ciężkich inflantów (takiego dosiadał np. pan Podbipięta w „Ogniem i mieczem"), fryzów, perszeronów, ale typowa polska rasa koni przeważała. Wyniszczyły ją dopiero wojny napoleońskie. Hodowla arabów rozpoczęła się u nas w wieku XVIII.

To, że według przysłowia nasi przodkowie rodzili się na koniach, bardzo ich zbliżało do ludów Orientu, toteż moda na wschodnią broń i siodła znajdowała gorących zwolenników. Ponieważ koniom nie żałowano złota, drogocennych tkanin i haftów, koń z rzędem stanowił pokaźną fortunę. Stąd wzięło się powiedzenie: „Dam ci konia z rzędem". Mówimy tak jeszcze dziś, ale nie wszyscy wiedzą, co to właściwie znaczy „rząd" na konia.

Strój dla rumaka

POLSKI STYL JAZDY wykształcił się głównie w związku ze służbą wojskową. Każdy rodzaj formacji np.: husaria, jazda pancerna i lekka, stosowały własny sposób dosiadania i prowadzenia konia. Z tym oczywiście łączyła się i budowa siodeł, inaczej kulbak, no i rzędów.

Co to jest siodło, a co rząd? Sprawę tę wyjaśnił mi pan docent Zdzisław Żywulski, autor rozprawy o dawnej sztuce siodlarskiej w Polsce. Pana docenta zastałam w Muzeum Czartoryskich w Krakowie, które jest posiadaczem pięknej kolekcji rzędów.

Otóż siodło jest tym, na czym się siedzi dosiadając końskiego grzbietu. Rząd natomiast to osiodłanie obejmujące i końską głowę, ozdabiane często buńczukiem pod szyją, to uździennica i uzda, wędzidło, wodze, słowem cała, jak to popularnie mówimy, uprząż.

Złote gwoździki na purpurze

DOBRE SIODŁO w wieku XVI kosztowało ok. 2 zł, tyle mniej więcej, ile wynosiła cena luksusowych butów z safianu. Kilkadziesiąt lat później, gdy moda ze Wschodu zdobywała coraz więcej zwolenników, siodła poszły w górę, kosztowały 6 lub nawet 10 złotych polskich. A niektóre rzędy lśniące na koniach, prowadzonych przy słynnym wjeździe polskiego posła, Jerzego Ossolińskiego do Rzymu, oceniano na 10 tysięcy dukatów! Rząd zdobiący konia, posłującego do Danii Rzewuskiego obliczano nawet na milion złotych! Na tak „przyodzianych" koniach nie było widać nawet kawałka rzemienia, zasłaniały je haftowane aksamity, złote okucia łęków i drogie kamienie.

Importowane z Turcji i Persji siodła naśladowane były przez polskich mistrzów. Wykonywanie rzędów: jak: uździennice, uzda, podpiersie, podogonie, zastrzeżone było dla cechu rymarzy. Strzemiona, wędzidła, munsztuki wyrabiali natomiast ślusarze. Nie obywało się bez zatargów, a wymagający klienci musieli uzgadniać swoje zamówienia z kilkoma wykonawcami.

Były to tak ważne sprawy, że przywileje dla siodlarzy nadawał aż Sejm! Na przykład Sejm z 1569 roku w Lublinie ustalił przepisy przeciwko partaczom, wytwarzającym siodła „niewarowne", konie „ku niebezpieczeństwu przywodzące". Cechom siodlarzy nadawali przywileje królowie: Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III, Władysław IV, Jan Sobieski zaś bardzo rozmiłowany w pięknych rzędach (specjalnie dla siebie kazał sprowadzać je z Krymu), zatwierdził również przyjęcie do cechu krakowskich hafciarzy, wykonujących części ozdobnych tkanin i skóry. Na tych aksamitach haftowano złotem różne motywy kwietne, jak np. piękne kwiaty goździka.

Okucia łęków i osadzanie szlachetnych kamieni odbywało się w pracowniach złotniczych. Zadaniem siodlarzy było zestawienie w całość tego paradnego końskiego „przyodziewku".

Aksamity na siodła sprowadzano z Włoch, delikatne gatunki skór, srebrną i złotą blachę, perłową masę i złotolite tkaniny z Turcji i Persji. Z Anglii i Holandii importowano sukno. Słowem, wszystko dla konia!

Taki koń stanowił cały majątek. Czaprak zrobiony był z kosztownej tkaniny, rząd i siodło nabijane drogimi kamieniami, podobnie zresztą jak kałkan czyli tarcza. Pochwa koncerza (długiego miecza) lśniła złotem.

Rys. MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

Napisała ANNA GRZYBOWIECKA

Konik malowany

NATURALNE KOLORY KOŃSKIEJ SIERŚCI nie wystarczały. Kiedy polska legacja udawała się np. do Paryża po żonę dla Władysława IV, Marię-Ludwikę, przed wjazdem na ulice miasta niektóre rumaki pomalowano na czerwono... Jeden z uczestników tego wspaniałego orszaku stwierdzał, że 20 wierzchowców „nosiło" srebrne podkowy, a ten, którego dosiadał wojewoda poznański Opaliński, błyskał podkowami ze złota.

Konie prowadzone luzem miały przytroczone do rzędów ozdobne i drogocenne koncerze, tarcze, sajdaki. Z końskich grzbietów spływały czapraki ociekające złotym haftem, na końskich głowach chwiały się pióropusze ze strusich piór.

Gdy Zygmunt August odprawiał weselisko z Katarzyną austriacką, bracia — Andrzej i Łukasz Górkowie — mieli w swoim orszaku giermków z przypiętymi do zbroi skrzydłami, orszak taki wyglądał jak wschodnia bajka!

Nie zawsze jednak koń „nosił się" jak wystawa jubilerska. Kiedy odbywał się np. pogrzeb jakiegoś dostojnika, za konduktem prowadzono rumaka przybranego żałobnie. Koń taki był wprowadzany nawet do kościoła. Niekiedy siedział na nim rycerz zakuty w zbroje. Po skruszeniu na znak żałoby kopii, zwalał się z konia u stóp katafalku. Na pogrzebie hetmana Stanisława Koniecpolskiego w 1646 roku spadający rycerz narobił takiego rumoru, że wystraszony koń potratował najbliżej stojących ludzi.

Nefryt przynosił szczęście

DO ZDOBIENIA KOŃSKICH RZĘDÓW stosowano wiele kosztowności. W Polsce najbardziej ulubionym kamieniem był krwawnik, używano jednak również i szmaragdów, turkusów, szafirów i pereł. W siodłach sprowadzanych z Turcji szczególnie często stosowanym kamieniem był nefryt. W krajach orientalnych przypisywano mu magiczną moc przedłużania życia. Nefryt miał przynosić szczęście...

W polskich muzeach znajduje się obecnie około 100 zabytkowych siodeł i rzędów. Jeśli znajdziecie się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, lub będziecie oglądali zbiory wawelskie, czy Muzeum Czartoryskich w Krakowie, zatrzymajcie się chwilkę przed gablotami, w których lśnią kamieniami ozdobne rzędy. Wiele spośród nich związanych jest ze znanymi z historii postaciami.

Siodło Stefana Czarnieckiego możecie obejrzeć w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Przepiękna kulbaka ofiarowana Stanisławowi Małachowskiemu przez sułtana Mustafę II z okazji podpisania traktatu Karłowickiego (rok 1699) i wcześniejsze nieco, pochodzenia perskiego, zdobyte pod Wiedniem w 1683 roku, znajdują się na Wawelu.

Nie można tylko zobaczyć rzędów z wieku XVI, stanowiących ongiś kolekcję Zygmunta Augusta, którą tak zachwycił się wenecki poseł... Najstarsze zachowane, sięgają XVII wieku.

JAK DAWNIEJ UBIERANO KONIE

Rząd koński z XIV wieku.

Kropież na konia, tak zwany pancerny, z wieku XV.

Bogaty rząd na konia z końca XVII wieku, również turecki.

Kropież z wieku XVI.

Rząd koński turecki, początek wieku XVII.

Na tropie naukowej sensacji

Oto jeden z odkrytych rysunków naskalnych przedstawiający karykaturalny portret twarzy ludzkiej.

ODKRYCIE NIEZNANEJ CYWILIZACJI W AUSTRALII

PIĄTY kontynent świata — AUSTRALIA — odkryty został najpóźniej. Wiadomość o nim dotarła do Europy dopiero na początku XVII wieku. Od samego początku Australia (wraz z przyległymi wyspami) stanowiła dla uczonych i badaczy wielką zagadkę. Wszystko co tu odkrywano było zupełnie inne niż w innych częściach świata. Weźmy dla przykładu zwierzęta. Oto dziobak. Żyje w wodzie jak ryba, składa jaja jak ptak, a młode karmi mlekiem, tak jak to robią wszystkie ssaki. Mimo tej „nienormalności", po długich badaniach zasegregowano dziobaka do ssaków. Równie niezwykłymi zwierzętami są: kolczatka i duża grupa tzw. torbaczy, z kangurem na czele. Takich zwierząt w innych częściach świata nie ma. To samo można byłoby powiedzieć i o świecie roślinnym Australii.

Niemałą zagadką dla uczonych są również pierwotni mieszkańcy tego kontynentu. Australijczycy stanowią bowiem odrębny typ. Swoją budową nie podobni są oni do Europejczyków, ani do Azjatów, ani do Murzynów. Słowem — Australia to ląd, który będąc odizolowany od innych kontynentów rozwijał się odrębnie, według własnych praw.

Ostatnio w środowisku naukowym Australii toczy się pasjonująca dyskusja. Przedmiotem jej stało się sensacyjne odkrycie prehistorycznych, naskalnych rzeźb, dokonane w Australii Środkowej, na zachód od Alice Springs, głównego miasta w tej pustynnej części kontynentu.

Ekspedycja naukowa wykonała w gumie aż 400 odlewów tych zagadkowych rzeźb. Przedstawiają one najczęściej wizerunki twarzy ludzkich, o charakterze prawie karykaturalnym.

Wstępne badania wykazały, że rzeźby te nie są podobne do znanych już najwcześniejszych dzieł sztuki pierwotnych mieszkańców Australii. Zdaniem naukowców, są one wytworem zaginionej tu niegdyś cywilizacji. Niestety, w tej chwili nic nie można powiedzieć o ludziach, którzy tę cywilizację stworzyli. Wprawdzie niektórzy specjaliści twierdzą, że rzeźby naskalne mogli wykonać kiedyś krajowcy z Nowej Gwinei, ale nie mają żadnych przekonywających dowodów na poparcie swej hipotezy. Inna teoria (reprezentuje ją sam odkrywca tych dzieł, dr M. Terry) sugeruje, że autorami ich byli ludzie, którzy niegdyś przybyli do Australii z okolic Morza Śródziemnego lub Bliskiego Wschodu. Ale i ta próba wytłumaczenia zagadkowego odkrycia nie jest wystarczająca. Prawda może być zupełnie inna. Jaka? Dziś jest to jeszcze tajemnica. Być może przyszłe odkrycia wykażą, że Australia była w przeszłości kolebką odrębnej cywilizacji, nie podobnej do innych, tak zresztą jak i cały kontynent, różniący się znacznie od pozostałych części świata.

Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, wszyscy są zgodni, że znalezione na pustyni naskalne rzeźby stanowią największe australijskie odkrycie sztuki starożytnej!

ST. BOROWIECKI

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Sekretarz redakcji — 28-25-45. Sekretariat administr. 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — Warszawa, Mokotowska 24, tel. 21-12-04. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna 12,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-1000-20 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 437. N-55

tylko KOT

TAK PÓŹNO, a jeszcze go nie ma — zaniepokoiła się teraz już nie na żarty starsza pani. Z wysiłkiem uklekła na krześle przy oknie i otworzyła lufcik, usiłując wsunąć w niego siwą głowę.

— Kici... kici... kici... — popłynął w ciemności przyzywający szept.

Czekała jeszcze chwilę nadsłuchując uważnie, a potem z westchnieniem zamknęła lufcik i ostrożnie stanęła na podłodze. Była już bardzo stara. Trzymała się jeszcze prosto, ale siwa, gładko w staroświecki koczek uczesana głowa trzęsła się stałym, drobnym ruchem, takim samym ruchem drżały chude dłonie. Teraz zresztą drżały bardziej niż zwykle z niepokoju i zatroskania.

Zrobiła parę bezcelowych kroków, wlokąc za sobą zsunięty z ramienia szal, po pokoiku zagraconym do granic możliwości.

— Nie wrócił — powiedziała głośno.

Otuliła się szczelnie szalem i wyjrzała do sieni. Równocześnie uchyliły się sąsiednie drzwi i wysunęła się z nich głowa pani Kozłowskiej. Wystawiła puste wiadro po węglu i zerknęła na staruszkę.

— Zimno dziś — niech się pani cieplej ubierze.

— Ja tylko do drzwi — odpowiedziała zagadnięta i zawahała się.

Kozłowska nie lubiła Burasia. Twierdziła, że kot brudzi w sieni i pokpiwała, że lepiej byłoby dziecko otoczyć taką troskliwą opieką, a nie kota. A ona już przecież swoje dzieci wychowała, żyją sobie gdzieś w świecie, daleko stąd. Zawahała się na chwilę, ale niepokój i chęć dowiedzenia się czegoś były silniejsze niż obawa usłyszenia przytyku.

— Nie widziała pani mego Burasia? — zapytała.

— Kota? A nie, nie widziałam. A co, zginął?

— Właśnie nie wiem, nie wrócił od rana...

— Eee, wróci, wróci, poszedł sobie na spacer, jak to kot. Marek, jak ty wyglądasz! — wykrzyknęła nagle głośno — biłeś się?

Potargane włosy, siniak pod okiem i oderwana na ramieniu koszula nie wymagały wyjaśnień. Wciągnięty energicznym ruchem do mieszkania Marek znikł za drzwiami, zza których przez chwilę dochodziły jeszcze wyraźne odgłosy macierzyńskich połajanek.

Starsza pani podreptała ku drzwiom. Zapadł już mrok. Niedaleko grała w piłkę grupka chłopców. Chciała ich zawołać, zapytać o Burasia, znała przecież każdego z nich od pieluch, ale porwali się nagle do biegu i zostawiwszy piłkę znikli za węgłem. Postała więc chwilę, nawołując w szarzejącą mrokiem głąb podwórka z nadzieją w głosie. Odpowiedziała jej cisza. Burasia nie było.

Dziwnie pusty i samotny wydał jej się pokój. Nieco życia wnosiły tu tylko kot i ogień pod blachą. Ogień jak ogień, ale prawdziwym towarzyszem i przyjacielem był Buraś. Ludzie odeszli już od niej dawno. Zabrała ich wojna, zabrał upływający czas. Została sama jak omszałe, pochylone wiekiem drzewo, zapomniane przez drwali na porębie. Ale ludzkie serce nawet najstarsze, musi się o coś zaczepić, żeby żyć. Miała więc tego kota i dbanie o jego potrzeby, jego obecność, możność głaskania jedwabistego grzbietu, zaspokajały jej potrzebę czułości.

Wieczorem zapukała Kozłowska.

— Pani wie? — powiedziała — chłopaczyska zabiły kamieniami paninego kota. Marek sam to widział. Co pani? — przeraziła się spojrzawszy w twarz staruszki. Może kropli... No, co pani? To przecież tylko kot. Swoją drogą, co za paskudne dzieci. Kot im przeszkadzał! No, niech się pani uspokoi. No, no...

— Gdzie on jest?

— Kto? Buraś? Na śmietniku.

Na śmietniku. Buraś, przyjaciel. Trzeba iść, zaraz iść po niego. Ale nogi nie chcą słuchać, bezwład ogarnął stare ciało. „Nie, nie pójdę, Burasiu, jestem już stara, bardzo stara" — usprawiedliwiała się sama przed sobą.

Mija czas, płynie czas. Młodym ku przyszłości, ku nadziei. Starej kobiecie w samotność. W milczenie, w mrok. „Trzeba coś zrobić, trzeba wyjść z tego pokoju, spośród sprzętów równie starych jak ona, równie chylących się ku upadkowi. Trzeba żyć" — myśli rozpaczliwie.

Wyszła któregoś pogodnego popołudnia przed dom. Wysuszony wiatrem po niedawnej odwilży chodnik zachęcał do przechadzki. Ruszyła przed siebie, postukując miarowo laseczką do taktu drobnym krokom. Pachniało zbliżającą się wiosną, orzeźwiło ją powietrze i wolna przestrzeń dookoła. Postanowiła dojść do połowy ulicy.

Na jezdni cichej, przedmiejskiej uliczki gromadka chłopców z sąsiedztwa krzykliwie o coś się spierała. Na ten widok stara kobieta przystanęła, a potem zawróciła, lękliwie wtuliwszy głowę w ramiona. To i cóż, że znała ich od niemowląt, że były to dzieci sąsiadów. Przecież to oni zabili Burasia. Teraz mogą uderzyć i ją. Mogą uderzyć każdego, kto jest od nich słabszy i nie może się bronić. Więc byle dalej od nich, byle prędzej — świat po doznanym okrucieństwie przestał być bezpieczny.

Bezskutecznie starała się przyspieszyć kroku, usłyszawszy doganiający ją tupot. Chłopięca sylwetka wyskoczyła przed nią, zabiegła jej drogę.

— Czego chcesz? — odezwała się, zaciskając palce na lasce.

— Proszę pani — usłyszała zdyszany głos. — Proszę pani, ja go chciałem obronić. Biłem się wtedy z nimi. Ale ich było więcej. I oni teraz żałują, jak moja mama opowiedziała im o pani. Oni... oni wtedy nie pomyśleli o tym... Ale teraz żałują. Naprawdę.

Patrzyła na zamorusana twarz, uniesioną ku niej, na potargane włosy i uspokajała się.

A chłopiec jakby odgadł jej niedawny lęk, jej samotność.

— Mogę się z panią przejść? — zaproponował.

Wieczorem obudziło ją z lekkiej, starczej drzemki pukanie. W progu stanął Marek z szarym kłębuszkiem w ręku. Za nim wsunęła się Kozłowska.

— Przyniosłem pani kotka — powiedział chłopiec.

— Zamiast tamtego. Nawet podobny — wyjaśniła matka.

— Zamiast... — szepnęła staruszka. Jakby jakiekolwiek zwierzę mogło zastąpić starego przyjaciela, który rozumiał każde jej słowo!

— Dziękuję. Bardzo państwu dziękuję — powiedziała głośno.

Kołysząc się zabawnie na niepewnych jeszcze łapkach, z ogonkiem sztywno podniesionym do góry, kociak starannie badał nieznany teren. Patrzyła na niego obojętnie zamyślona. Wreszcie malec zmęczył się, usiadł i pisnął raz, potem drugi, trzeci. Starsza pani ocknęła się z zamyślenia, coś jakby uśmiech zabłąkało się w siateczce zmarszczek.

— Chodź, dam ci mleka — odezwała się — ty... ty Burasiu.

MARIA SIERŻĘGOWA

Rys. M. Teodorczyk